

Ostatni wieczór na Ziemi

Autobus mijał powoli obrzeża Quito. Liche, kolorowe domki, które gęsto wyrastały na wzgórzach, wydawały się tak krucho, jak gdyby ciężkie chmury wiszące nad miastem mogły je w każdej chwili zgnieść. Wiedziałam, że to będzie długa podróż, kiedy po zaledwie godzinie zatrzymaliśmy się na pierwszą kawę.

Wyjęłam z plecaka zbiór opowiadań Roberto Bolaño. Otworzyłam na *Ostatnich wieczorach na Ziemi* i zaczęłam czytać: *Sytuacja jest taka: B i ojciec B wyjeżdżają na wakacje do Acapulco. Wyruszają bardzo wcześnie, o szóstej rano. Tej nocy B śpi w domu swojego ojca. Nic mu się nie śni, a jeśli mu się śni, to zapomina o tym, jak tylko otworzy oczy. Ciekawy zbieg okoliczności. Patrząc przez okno, myślałam „Sytuacja jest taka: A wyjeżdża na wakacje do Ayampe. Wyrusza bardzo wcześnie, o szóstej rano. Tej nocy A śpi u siebie w domu. Nic jej się nie śni, a jeśli jej się śni, to zapomina o tym, jak tylko otworzy oczy...”. Ze wszystkich pisarzy Bolaño kochałam najbardziej. Wracałam do jego książek nieraz, zwłaszcza do opowiadań. Jak do tego opowiadania. Do historii B i ojca B. Wyjeżdżają razem na wakacje. Jedzą mięso z iguany, B czyta o zaginionym francuskim poecie, kąpią się w morzu, idą do burdelu. Ich podróż nieuchronnie zmierza do burdelu, z którego najprawdopodobniej już nie wyjdą.*

Sytuacja była taka, że ja też byłam w podróży. Od bardzo dawna. Patrząc na mijający krajobraz z okna autokaru La Reina del Camino, nie mogłam uwierzyć, że za kilka godzin znajdę się na słonecznym wybrzeżu. Irma czekała już na miejscu. Przyjechała do Ayampe tydzień wcześniej i w ostatniej wiadomości pisała, że miejscowość jest jeszcze piękniejsza, niż sobie wyobrażałyśmy. Wystąpiła mi kilka zdjęć plaży i roweru, który wypożyczyła za drobną opłatą.

Czasem zastanawia mnie, czy gdybyśmy się nie spotkały, sprawy potoczyłyby się inaczej. Czy dotarłabym na przykład w ten odległy zakątek świata? Z pewnością wspólne podróżowanie było łatwiejsze, prawdopodobnie bezpieczniejsze i dodawało pewności siebie. Miałśmy podobne gusty kulinarne, ale dość odmienne, jeśli chodzi o mężczyzn. I jedno, i drugie sprzyjało dobrym relacjom. Co więcej, moja przyjaciółka, optymistycznie nastawiona do ludzi, nieraz otwierała nas na nowe znajomości. Dzięki temu na przykład wpuszczono nas w nocy na ruiny miasta Majów w Tulum albo ugoszczono przez tydzień w chatce w górach Atlas. Muszę przyznać, że mi przełamywanie lodów nie przychodziło z podobną naturalnością. Pamiętam, jak jadąc na pierwszą w moim życiu randkę, która wedle wszelkich standardów przypadła dość późno, wymyślałam wszystkie możliwe pytania i tematy rozmowy z lęku przed niewygodną ciszą. Przyjaźń z Irmą była jedną z najcenniejszych i najłatwiejszych relacji, jakie udało mi się nawiązać z drugim człowiekiem.

Miejski krajobraz został w tyle, autobus przyspieszył, wzdłuż drogi pojawiło się więcej drzew, zasnęłam.

Autobus odjechał, podnosząc za sobą chmurę jasnego pyłu. Objuczyłam się wypchanym plecakiem, zesłam chwiejnie po stromym zboczu i skierowałam się w stronę nadmorskiej wsi. Zostawiłam za sobą pękate, zielone wzgórza tak charakterystyczne dla tej części wybrzeża i maszerując z ulgą po długiej podróży postępującym autobusem, kontynuowałam moje rozmyślenia z drogi.

Przesuwający się za oknem krajobraz przypominał mi, jak miło jest poczuć, że człowiek na chwilę uciekł. Kiedyś, zanim zaczęłam podróżować, wymykałam się albo raczej wykradałam dla siebie czas w porze dnia, kiedy wszyscy inni pracowali, studiowali albo byli uwięzieni gdzieś nudnymi obowiązkami. Polegało to na tym, że powoli przechadzałam się ulicami, obserwowałam światło przesuwające się po ścianach budynków, zapartywałam na korony drzew, kontemplowałam przechodniów odbijających się w szybach biurowców. Miałam wtedy przynajmniej przez chwilę wrażenie, że znalazłam się w mojej alternatywnej rzeczywistości, z której patrzę na toczące się po drugiej stronie życie.

Perwersja moich małych wycieczek polegała na tym, że musiały odbywać się w godzinach pracy innych ludzi. Inaczej nie pojawiałoby się poczucie niezwykłości i satysfakcji. Skończyło się to mniej znaczącymi nieprzyjemnościami na studiach i nieco większymi w pracy. Chyba dlatego tak lubiłam postacie z długich, czarno-białych filmów: ludzi, którym nigdy się nie spieszy, nigdy nie muszą nigdzie być. Nie czekają na nich żadne obowiązki, mogą więc przez cały film snuć się po mieście, podczas gdy ludzie w tle podążają gdzieś pospiesznie. Na szczęście nie miałam już zajęcia, które bez ironii można by nazwać stałą pracą. Szwendałam się już tak długo, że nie wiedziałabym nawet, dokąd wrócić. W pewnym sensie.

Szłam w stronę wsi, popołudniowe słońce grało przyjemnie i nieco oślepiało. Ayampe było gęsto porośnięte kwicistymi krzewami, te ciemnoróżowe nazywały się bugambilia. Ładnie. Przy odrobinie szczęścia można było zobaczyć krążące wokół nich kolibry. Wieś kryła się w cieniu drzew, z których najwyżej wyrzeliwały w górę szczupłe palmy. Mijając przydomowe ogrody, rozpoznałam drzewa mango, które z jakiegoś powodu wprawiały mnie w dobry nastrój. Wszechobecna bujność przyrody kontrastowała z prostotą i skromnością niewielkich zabudowań. Wypływały kolory starych drewnianych płotów i drzwi, senne cienie palm, piaszczysta droga. Wieś wydałaby się opuszczona, gdyby nie odgłosy radia dochodzące z co niektórych otwartych okien i uchylonych drzwi. I staruszka, z białymi warkoczami i w seledynowych szortach, która minęła mnie, prowadząc za rękę małą dziewczynkę.

Znalezienie hostelu okazało się bardzo proste, ostatni budynek na głównej drodze prowadzącej na plażę. Irma miała rację co do miejsca, było idealne. Bambusowa brama i ogrodzenie porośnięte kwiatami prowadziły pod zadaszenie, gdzie znajdowała się recepcja. Po lewej kuchnia z wielkim glinianym piecem, po prawej sala ze stolami i krzesłami. Chłopak z recepcji poinformował mnie po hiszpańsku, że Army nie ma, ale zostawiła

klucz do naszego pokoju. Zaprowadził mnie przez ogród do jednego z dwóch domów o bielonych ścianach, gdzie wynajmowano pokoje. W ogrodzie pełno było drzew różnego rodzaju. Niektóre, smukłe, sięgały aż do balkonów na drugim piętrze, inne, niskie, o powykęcanych gałęziach i płaskim listowiu, przyjmowały formę jasnozielonych daszków. Przez liście migotało słońce, słychać było szum morza dochodzący zza ogrodu. Tu i ówdzie porozwieszane były czerwone hamaki, które zwisały z drzew jak ogromne kokony.

Po chłodnym i zacienionym pokoju porozrzucone były rzeczy Armii. Na wybebeszonym plecaku walały się kolorowe ubrania, na drzwiach do łazienki suszyło się bikini oraz znany mi dobrze plażowy ręcznik reklamujący piwo. Na lustrze wisały koraliki – kupiliśmy takie same podczas podróży do Iquitos.

Kiedy chwilę później, wychodząc na plażę, mijając sąsiedni pokój, nie mogłam się powstrzymać, żeby nie spojrzeć przez okno. Ciemne pomieszczenie wydawało się puste. Symetrycznie podobne do naszego pokoju, ale nieożywione przez przedmioty osobiste czy chociażby bagaże. Nieoczekiwanie coś się poruszyło. W cieniu, na łóżku leżał nagi, młody mężczyzna. Nie widziałam jego twarzy. Masturbował się w sposób, który wydał mi się agresywny. Odeszłam pospiesznie, zanim mnie zauważył.

Plaża znajdowała się kilkadziesiąt metrów za hostelem i kiedy na nią weszłam, była prawie pusta, poza parą surferów pływających daleko od brzegu i grupką obcokrajowców pod jednym ze słomianych parasoli. Jasna i czysta przestrzeń. Po lewej stronie zamykały ją zielone wzgórza opadające nad wodą w brunatne klify. Po prawej stronie zdawała się nie mieć końca, zaczęłam więc spacerować w tamtym kierunku. Minęłam niewielki strumyk wypływający z ciemnej laguny, przeszłam po kamieniach przypominających dinozaurze jaja, które nagle powyrastały z piachu, aż znalazłam ustronne miejsce za powalonym pnem drzewa, wysuszonym przez słońce.

Woda w lagunie była cieplejsza niż w oceanie, spokojna i przyjemna. Zanurzałam się powoli, czując pod stopami gliniane, śliskie podłoże, które wślizgiwało się pomiędzy palce u stóp. W dotyku miało coś przyjemnego i odpychającego zarazem. Coś ślimakowatego, flakowatego, a jednak tak miłego w dotyku. Chciało się gmerać w nim stopą, jednocześnie walczyć z odruchem, by to odepchnąć i uciekać. Czy to na pewno było gliniane podłoże? A jeśli nie, to co? Woda była tak ciemna, że niemożliwe było coś dojrzeć. Pływając powoli wzdłuż brzegu, przyglądałam się wysokim trawom i pięknym ptakom, nie mogłam jednak pozbyć się wrażenia, że pod wodą było coś obcego. Wróciłam do brzegu.

Leżąc w samych majtkach na rozgrzanym piasku, czułam jak promienie słońca rozlewały się po moich zamkniętych powiekach, kładły się na nagiej skórze, na ramionach, na brzuchu, na udach, czułam jak miodowe ciepło rozchodzi się po całym ciele. Spokój, pulsująca cisza przerywana miarowym uderzeniem fal i jasność rozlewająca się wszędzie. A mimo to, nagle poczułam niepokój. Jakby coś się czało, jakby obserwowało, nieproszone. Pomyślałam, że może za daleko odeszłam. Trzeba było zostać bliżej hostelu i nielicznych plażowiczów. Skąd we mnie ten niespodziewany niepokój?

Otworzyłam znowu zbiór opowiadań. B był na plaży. Wypożyczył deskę i wypląnął w morze, kierując się do niewielkiej, pustej wyspy. *Morze jest o tej godzinie krystaliczne i zanim dotrze na wyspę, B wydaje się, że widzi czerwone ryby poniżej deski, ryby długości pięćdziesięciu centymetrów, które zmiierzają w kierunku plaży, podczas gdy on wiośtuje w stronę wyspy. Silne fale nie pozwalają B dotrzeć do celu, dryfuje przez chwilę, patrząc na nieosiągalną plażę, która oślepia białością piasku. Wtedy B przestaje wiosłować i pozostaje nieruchomy, na łasce fal, i fale zaczynają stopniowo oddalać go od wyspy. Słońce rozgrzewało tak przyjemnie. Zasnęłam.*

Uhuuuu! Pablito!

Podparłam się na łokciach, mrużąc oczy przed ciagle mocnym słońcem. Tęczowe plamy umykały szybko razem z nagle przerwana drzemką, a na ich miejscu zarysowała się na nowo plaża. Irma szła w moim kierunku jak po prześwietlonym zdjęciu, machając zamasyżycie i się uśmiechając.

Co żeś się tak rozgogoliła, zbereżny Pablito! Ldziemy coś zjeść!

Podczas którejś z naszych rozmów Irma powiedziała, że miałybyśmy więcej swobody w podróży, gdybyśmy były mężczyznami. Rozbawiło mnie to i spytałam, czy długo nad tym myślała. Od tej pory, co jakiś czas nazywała mnie męskim imieniem, wybieranym adekwatnie do otoczenia. Ostatnio zostałam Pablito.

Irma zaprowadziła mnie przez wieś do małej knajpy pod strzechowym zadaszeniem, składającej się z kilku plastikowych stołów i krzesel oraz okienka, z którego wydawano jedzenie.

Niechący zaskoczyłam dziś jednego z gości hostelu podczas masturbacji.

No co ty? I co zrobił?

Nic. Nie widział mnie.

Podglądałaś go?

Wręcz przeciwnie. Uciekałam na jego widok.

Irma się roześmiała.

Było w nim coś, sama nie wiem, jakby agresywnego.

Jak to? Agresywnie się masturbował?

Wiem, że dziwnie to brzmi. Nie potrafię ci tego wyjaśnić, ale wierz mi, że nie chciałabyś zostać jego partnerką seksualną.

Mhm. A w którym pokoju go widziałaś?

Tym obok naszego.

Ciekawe – Irma wzięła tyk piwa – bo tam nikt nie mieszka.

Kobieta, do której wszyscy zwracali się Doña Carmela, postawiła przed nami talerze z zupą rybną. Irma spojrzała na książkę, którą miałam ze sobą.

Słyszałaś o tym, że istnieją inni autorzy?

Coś ktoś kiedyś mówił...

Bolaño. – Zaczęła kartkować i zatrzymała się na spisie treści. – Dziwki morderczynie. Ostatnie wieczory na Ziemi. Zawsze podobały mi się jego tytuły. Weź sobie na przykład

takich Dzikich Detektywów, przecież to jest zajebisty tytuł dla książki. Gdybym napisała książkę, chciałabym, żeby nazywała się *Dzicy Detektywi*. A ty?

Czy ja wiem. Pewnie *Ostatnie wieczory na Ziemi*.

No właśnie, taki melancholijny, niepokojący tytuł. A pamiętasz te zajęcia o Bolaño, na które chodziliśmy na studiach? Jak one się nazywały?

Doña Carmela postawiła przed nami dwa schłodzone piwa. Smak zimnego, gorzkiego napoju był tak przyjemny w panującym upale, że aż przymknęłam oczy, zanim odpowiedziałam.

Podróż jako *performance* poetycki.

Tak! – Irma rozparła się w plastikowym krześle i chłodziła skronie butelką. – Myślę, że profesor byłby z nas zadowolony, gdyby zobaczył, jaki robimy *performance* poetycki od lat.

Po jedzeniu wróciliśmy na plażę obejrzeć zachód słońca. Słyszmy brzegiem, piana morska obmywała nam stopy i rozmawialiśmy o wykupieniu kilku lekcji surfingu. Podobno ktoś ze wsi oferował je w rozsądnej cenie. Chmury przybrały różowy i szary kolor. Niebo – błękitny i pomarańczowy. Za chwilę słońce zniknie, za chwilę dzień się skończy.

Z daleka zobaczyliśmy ognisko, które na tle ciemniejących wzgórz wyglądało jak świetlik. Podeszliśmy bliżej i Irma rozpoznała kilka osób z naszego hostelu.

Chodź, przedstawię cię.

Nastąpiła krótka wymiana uścisków i imion, z których nie zapamiętałam prawie żadnego. Siedząc przy ognisku, Irma opowiadała mi pokrótce o ludziach, których zdążyła poznać przez ostatnich kilka dni.

Jako pierwsza zwróciła moją uwagę Kolumbijka. Miała twarz pucułowatego dziecka. Na początku zdawało się, że nie jest to typ urody atrakcyjny dla każdego, że przyciągnęłaby uwagę tylko tych o nietypowych gustach, ale szybko okazało się, że wręcz przeciwnie. Jej ciało było idealnie nieproporcjonalne, obfite tam, gdzie trzeba, zadziwiająco gibkie, gdzie należy. Do tego cięcia w jej garderobie były bezbłędne. Kolumbijka przyciągała uwagę wszystkich, mężczyzn i kobiet. Sama wyznała mi to kilka piw później: *Czasem to wręcz męczące. Musiałam odsunąć się od wielu przyjaciół, bo po kolei zakochiwali się we mnie... a po latach okazało się, że moja najlepsza przyjaciółka też była we mnie zakochana. Podobno dlatego rozpadały się jej kolejne związki. Co zrobić... – zwierzała się z nieprzekonującym żalem. Ku mojemu zaskoczeniu, wcale mnie nie irytowała. Kiedy ma się pewną charyzmę, pomyślałam, bycie próżnym musi być bardzo kuszące.*

Zaraz obok niej siedziało dwóch młodych mężczyzn. Jeden spokojnie mógł uchodzić za Latynosa, niewysoki i szczupły, ciemne, kręcone włosy spięte w kucyk, bransoletki z koralików na obu nadgarstkach.

– Dobrze włada hiszpańskim, jak na Amerykanina. To pewnie dlatego, że gra na gitarze i ma dobry słuch. Nawet akcent mu wychodzi. Zakładając, że stara się mówić z argentyńskim akcentem – komentowała z lekkim uśmiechem Irma.

Drugi był wysoki, z lekką nadwagą i białą skórą, z daleka odróżniał się od reszty otoczenia. To był ten rodzaj białej skóry, która niepokojąco czerwienieje na słońcu i dopiero po dwóch tygodniach przestaje przypominać poparzenia, a zaczyna kojarzyć się z opalenizną.

– To też Amerykanin, podróżują razem – kontynuowała Irma – Jest przesłodki, nie? Wygląda jak duży bobas. Pomimo kilku miesięcy lekcji hiszpańskiego w Tucson, ciągle myli nawet podstawowe słowa i zastępuje je angielskimi, jak mu się podoba. Jest taki pocieszny i bezproblemowy. Ach, i nie uwierzyłabyś, ile oni mają przy sobie kokainy i innych dragów! Nigdy im się nie kończą...

Pierwszy Amerykanin chyba się zorientował, że o nim mówimy, bo skorzystał z okazji, żeby się przysiąść. Zaczął uwodzić Irmę, choć może po prostu był sobą, co po chwili mnie znudziło i zaczęłam przysłuchiwać się innej rozmowie przy ognisku.

– No najlepiej, żeby była *fairtrade*, ale taka naprawdę – Francuzka mówiła melodyjnym głosem. – Nie jakaś tam popierduła od Starbucksa, który buduje szkoły w Afryce, a jednocześnie wspiera osadnicze zapędy Syjonistów. Najlepiej, jeśli jest od Zapatystów, w Paryżu można taką kupić bez problemu...

Postanowiłam wrócić do rozmowy między Amerykaninem i Irmą. Opowiadał o tym, że zamierzał przed śmiercią odwiedzić wszystkie kraje świata. Do tej pory dotarł do czterdziestu siedmiu. Brodaty mężczyzna, który siedział w pobliżu, roześmiał się i powiedział, że pewnie doliczył też przesiadki na lotniskach. Zamiast naprawdę poznać trzy kraje, wolał odlać się w czterdziestu siedmiu, potem zaznaczyć to na Facebooku, Instagramie, couchsurfingu czy gdzie tam się jeszcze dało. Amerykanin nie był zadowolony z tego komentarza. Odpowiedział jednak ze spokojem, że udało mu się poznać dobrze więcej niż trzy kraje, ale poza tym chciałby chociaż raz znaleźć się w każdym kraju na świecie. Brodacz ciągle rozbawiony odpowiedział, że Amerykanin na pewno był jedną z tych osób, które wchodzi na samą górę wszystkich piramid. Amerykanin nie zrozumiał, o co chodziło. Reszta towarzystwa pewnie też nie do końca, ale uśmialiśmy się i tak, instynktownie.

Z kilku rozmów, które toczyły się przy ognisku, podsłuchałam trochę tu, trochę tam, ale nie wyczułam odpowiedniego momentu, żeby włączyć się do którejkolwiek, więc uśmiechałam się tylko. Niespodziewanie, jak to zwykle bywa, poczułam, jak przesuwa się we mnie melancholia. Jak przebudza się gdzieś w trzewiach i wędruje do góry. Wstałam, żeby się przejść i spróbować pozbyć tego uczucia, zanim się rozgości.

Było już ciemno i piana z rozbijających się fal przypominała biel zębów w szyszczącym grymasie. Poza tym niewiele było widać. Rozebrałam się do bielizny. Naprzeciw mnie głośno i wściekle rozbijały się fale. Po co mi to? Chociaż, podobno to normalny odruch. Zew otchłani. Stoimy nad przepaścią i nagle zastanawiamy się, *a gdyby tak skoczyć*. Lęk przed wysokością wyzwala w nas odruch, żeby się cofnąć, ale też impuls, żeby się poddać zagrożeniu. Nie chodzi o to, że chcemy zrobić sobie krzywdę, po prostu coś w nas podszeptuje, że taka możliwość istnieje.

Woda była zimna, uderzała w ciało mrozącymi igiełkami, obezwładniała chwilowym szokiem. Gdy zbliżyła się pierwsza fala, zanurkowałam na chwilę w podwodną ciszę,

przeszła łagodnie. Kolejna wydała mi się większa, odczekałam, aż była wystarczająco blisko i zanurkowałam, poczułam kilka mocnych szarpnięć pod wodą i wypłynęłam, słysząc, jak roztrzaskuje się za moimi plecami. Na horyzoncie widziałam linię, na której rozbiły się z furją fale, większe i silniejsze. Rozejrzałam się, kilka sylwetek wstało od ogniska, ale nie dałam rady dostrzec, czy zbliżali się do wody, czy stali w miejscu. Kiedy poczułam, że gubię dno pod nogami, spróbowałam odpląć nieco w stronę brzegu, ale w tym samym momencie natarła kolejna fala, nie zdążyłam zanurkować w jej podbrzusze i uderzyła we mnie, wciągając brutalnie pod powierzchnię. Próbując wypłynąć, zakrzusiłam się słoną wodą i choć znalazłam się na powierzchni i łapałam już powietrze, zawładnął mnie strach. Fala oddaliła się w kierunku brzegu, pokorniejąc, ale ciągle nie mogłam wyczuć gruntu pod nogami. Wiedziałam, że za chwilę wyrośnie przede mną kolejna, i bałam się, że zamiast wynieść mnie na brzeg, wessie mnie w głęb i zanieśe aż na ciemny, huczący horyzont. Próbowalam płynąć w kierunku brzegu, ale niczym w nocnym koszmarze, pomimo skupienia wszystkich sił na odpychaniu się rękami i nogami, zdawało mi się, że stoję w miejscu. Plaża, ognisko, światła wsi, tak bezpieczne, pozostawały niezmiennie daleko. Gdy poczułam zbliżanie się następnej fali, zdążyłam tylko nabrać powietrza, zanim kolejne uderzenie wciągnęło mnie pod wodę. Mimo chwilowej szamotaniny udało mi się przedrzeć naprzód, dać ponieść się fali w kierunku brzegu. Stamtąd, potykając się, dałam radę pokracznie wy dostać się z wody, objając stopy i kolana o kamienie. Położyłam się na piasku, patrzyłam na nocne niebo, uspokajając oddech i myśli. „W porządku?” usłyszałam za sobą, Irma usiadła obok mnie.

– Przez chwilę myślałam, że to koniec, ledwo się wyrwałam – powiedziałam, dochodząc do siebie. Wychodząc z wody, obtarłam się o kamień i zobaczyłam, że z kostki spływa mi strużka krwi.

Dobrze, że jest ciemno... – Rozejrzałam się po plaży. – Kiedy wychodziłam z morza, fala ściągnęła mi stanik na brzuch.

Wróciłyśmy do ogniska. Ktoś rzucił „Nie za duże fale na kąpiele?”, ktoś inny dodał jakiś żart. Brodaty mężczyzna o wesołych oczach podał mi koc, usiadłam koło niego i jego partnerki.

I jak? Lepiej?

Lepiej. – Uśmiechnęłam się.

Mnie też jest czasem lepiej, jak się przekąpię w nocy – odpowiedział.

Byli z Hiszpanii, ale brodacze szybko zaznaczał, że jest też Cyganem, poza albo ponad byciem Hiszpanem. Spytałam, jakie to ma znaczenie. Od słowa do słowa, zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie. Czasie szczęśliwym i pełnym swobody. „Współczuję dzieciakom, które nie poznały nic poza życiem w bloku i przed telewizorem”. Nie bardzo wiedział, czym zajmowali się rodzice, ale ciągle się przeprowadzali, co dla niego i jego rodzeństwa oznaczało przede wszystkim coraz to nową przestrzeń do odkryć i przygód. „Byliśmy trochę jak ci hipisi, którzy włóczą się tu po wybrzeżu”. Dopiero kiedy osiedli gdzieś na dłużej, a dziećmi zainteresowała się lokalna straż miejska, wystali go do szkoły. Był dwa lata starszy od dzieci, które pewnego rześkiego wrześniego poranka poszły

z nim do pierwszej klasy. Jako że do późnej jesieni opatulął się jedynie swetrem i szalikiem, któraś z nauczycielek podarowała mu nową, zimową kurtkę. W domu co prawda leżało kilka cieplejszych kurtek, ale ta była fajniejsza i kolorowa. Gdy kilka miesięcy później marcowe słońce rozgrzało szkolne boisko, Cygan ściągnął kurtkę, zostawił ją na ławce i poszedł do domu, nie oglądając się na nią więcej. Nauczycielce trudno było zrozumieć, że przecież przyszła wiosna i nie była mu już potrzebna. Dorastając, często spotykał się z ludźmi, którzy nie pojmowali jego rozumowania i zamiast zastanowić się nad zasadnością własnego, wzruszali tylko ramionami, mówiąc „ci Cyganie”. To ludzie sprawili, że zaczął postrzegać siebie przez pryzmat tego, co różniło go od innych.

Cygan i Hiszpanka mieszkali w starym i zimnym domu w Pirenejach, który ona odziedziczyła po dziadku i który próbowali przekształcić w gospodarstwo agroturystyczne. Do tej pory nie przynosiło dużego zysku, ale widoki i poranna mgła były przepiękne. Na razie to im wystarczało.

Zdawało mi się, że było nas więcej – powiedziałam, rozglądając się.

Kilka osób poszło szukać jakiegoś staruszka ze wsi, który przygotowuje ceremonię Ayahuaski – odpowiedziała Hiszpanka.

Mam dosyć Ayahuaski na bardzo długo. Wymiotowałam przez kilka godzin.

Nie było duchowych przełomów?

Nie było.

A wizje?

Wizje były. Ale zamiast węża oprowadzającego mnie po Amazonii widziałam fabryki i własne wnętrza.

Faktycznie nie najlepiej ci poszło, koleżanko.

Przynajmniej przestałam palić.

Dzięki Ayahuasce?

Kiedy wszystko się zaczęło, ktoś koło mnie palił. To w połączeniu z kilkugodzinnymi wymiotami obrzydło mi papierosy tak bardzo, że już nigdy więcej nie zapaliłam.

Kiedy to było?

Ponad rok temu.

Gratuluję.

Usłyszeliśmy przerażający krzyk. Krzyk tak głośny, że po chwili załamał się i przeszedł w nieprzyjemny dla ucha pisk. Kolumbijka zakrywała usta jedną ręką, a drugą wskazywała w kierunku drzew, przesuwając się pokracznie w tył, jakby w zwolnionym tempie starała się uciec. Wszyscy, jak zamurowani, patrzyli w tym samym kierunku. Z zarośli za laguną wyłoniła się przerażająco biała, chuda postać, która szła w naszą stronę, wolno, z rozłożonymi przed sobą ramionami. I chociaż to zbliżające się powoli ciało miało niewątpliwie ludzką postać, wyglądało, jakby wyłoniło się nie z zarośli, a z samego zmierzchu, z innego wymiaru. Stawiało kroki jakby w zwolnionym tempie, chwiejąc się przy tym to w jedną stronę, to w drugą. Można było dojrzeć co najwyżej ciemne plamy, które zaznaczały się

wokół głowy i przyrodzenia. Długą chwilę ciszy przerwała Hiszpanka, która mrując oczy, żeby lepiej widzieć, powiedziała cicho:

To nasz gringo...

Konsternacja w grupie rosła, ale przynajmniej Kolumbijka przestała krzyżeć. Kilka osób wstało i zaczęło zbliżać się do bladej postaci. Kolumbijka, kiedy już dotarło do niej, co się działo, zaczęła śmiać się histerycznie. Kiedy zdała sobie sprawę ze swojej przesadzonej reakcji, tzy napłynęły jej do oczu i zaczęła zanosić się śmiechem, który po wcześniejszym gardłowym krzyku wychodził raczej zachrypty. Próbowwała machaniem przywołać najwyraźniej zagubioną zjawę. Ktoś przyprowadził Amerykanina z powrotem do ogniska. Cygan podał mu koc, podśmiewając się z jego narkotykowych manier. Reszta grupy rozeszła się w poszukiwaniu jego ubrań, ale tych nigdy nie odzyskano.

Mniej więcej w tym czasie Francuzka i Ekwadorczyk wrócili z wyprawy po Ayahuaskę. Francuzka spojrziała przelotnie na nagiego mężczyznę, ale najwidoczniej widok nie zdziwił jej na tyle, żeby spytać, co się stało.

Nie będzie dzisiaj Ayahuaski.

Reszta grupy nie zdawała się przejęta tą informacją. Ktoś zaproponował, żeby pojechać do Montanity, miejscowości, której imprezowa reputacja sięgała daleko poza Ekwador. Opinie w grupie były podzielone, ale ostatecznie postanowiliśmy jechać. Amerykanina numer jeden odprowadzono do pokoju, gdzie pokornie położył się do łóżka. Na drodze, na której wysiadłam kilka godzin wcześniej, złapaliśmy jeden z nocnych autobusów.

Montanita. Jaskrawe kolory, światła i odmienna muzyka dochodząca z każdego lokalu. Tłum ludzi sprawiał, że miejscowość wydawała się duża, tak naprawdę jednak było to kilka ulic, które skupiały wszystkie kluby, bary i knajpy. Im dalej od centrum rozrywki, tym robiło się ciemniej, a na krańcach ulic kończył się nawet asfalt. Weszliśmy do pierwszego lepszego lokalu. Salsa płynąca z głośników zapowiadała ożywioną atmosferę, ale na parkiecie niemrawo tańczyło tylko kilka podejrzanie młodych dziewczyn. Przy barze siedzieli mężczyźni w średnim wieku, przesadnie poważni jak na okoliczności i raczej niezadowoleni z naszego przybycia. Zwłaszcza dwóch, z badiewnym złotem na szyi i przegubach. Kolumbijka jako pierwsza zorientowała się, o co chodzi.

Lepiej stąd chodźmy.

Kolejny lokal był zdecydowanie weselszy. Szybko wypełniał się ludźmi. Zrobiło się beztrosko. W którymś momencie pomyślałam nawet, że dawno się tak dobrze nie bawiłam. Nie pamiętam, jak wszystko się zaczęło. Chyba najpierw Hiszpanka i Cygan powiedzieli, że idą coś zjeść. Potem Francuzka zwyzywała kogoś w kolejce do łazienki i wyszła. Amerykanin spotkał grupę rodaków i płasając, przepadł na resztę wieczoru. Po wyjściu z klubu, przeszliśmy się z lrmą kilka razy po Montanicy, ale nie spotkałyśmy nikogo znajomego. Gorszą wiadomością było to, że odjechał ostatni nocny autobus.

Pijane i coraz bardziej zmęczone zaczęłyśmy szukać taksówki, ale po godzinie musiałyśmy pogodzić się z tym, że wszystkie albo czekały na kogoś, albo miały nas

w pośpiechu, a ogólnie było ich bardzo niewiele. Bolały nas nogi, mnie zaczęła boleć głowa, Irma piekły oczy i musiała zdjąć soczewki. Czuliśmy się coraz nędzniej i chcieliśmy wrócić do pokoju w naszej cichej nadmorskiej miejscowości. Odechciało mi się zewów otchłani i włączenia bez celu. Nagle dotarło do mnie, że ten dzień trwał już bardzo długo.

Nie wiem, czy dam radę wstać jutro na lekcję surfingu – marudziłam, krążąc wokół pustego postoju taksówek. – Chcę zupę rybną za 3 dolary.

Gdzie jedziecie? – Młody mężczyzna o świeżym od potu czole zbliżył się do nas. Usłyszawszy odpowiedź zaproponował, że może nas podwieźć za 30 dolców.

Choć cena była złodziejska i samochód nawet nie był taksówką, zaczęliśmy, marudząc między sobą po cichu, iść za mężczyzną. Kiedy już prawie doszliśmy do wniosku, że odwołujemy te 30 dolarów i otworzyliśmy tylnie drzwi samochodu, okazało się, że na przednim siedzeniu pasażera siedział inny mężczyzna, skupiony na telefonie, i nawet nie spojrzał w naszą stronę.

Irma, nie wiem, czy to jest dobry pomysł. – Stałam, opierając się o otwarte drzwi samochodu.

Dwóch kolesi. – Irma rozejrzała się wkoło, jakby liczyła, że znajdzie tam rozwiązanie. – No faktycznie, trochę to szemrane. To nawet nie taksówka...

Wsiadacie? – Mężczyzna stał po drugiej stronie samochodu i się niecierpliwił.

Już, sekundeczka!

Ale co? Będziemy się tak włączyć całą noc? Mogłam wziąć ze sobą okulary na zmianę, od soczewek strasznie pieką mnie oczy...

Mam jeszcze inne sprawy do załatwienia. Jedziecie? – Mężczyzna nie prezentował się zbyt sympatycznie.

Ciekawe, jakie on ma sprawy o drugiej nad ranem... Ale dobra szybko, decyzja! Ja myślę, że jechanie nocą, po alkoholu, prywatnym samochodem z dwoma bucowatymi kolesiami to jest bardzo zły pomysł. Może jak pokręcimy się jeszcze, znajdziemy kogoś z hostelu albo poszukamy hostelu tutaj, na jedną noc. Trudno, najwyżej jutro nic nie zjemy, żeby zaoszczędzić... – próbowałam żartować z Irmą.

* * *

Drzwi zatrzasnęły się i gdy tylko rozsiadły się wygodnie na tylnym siedzeniu, zaczęła odczuwać w pełni zmęczenie całego dnia. Marzyła o gorącym prysznicu i czystej pościeli. Obrazy przesuwaly się prędko za oknem i monotony ruch samochodu zaczął ją rozleniwiać. Żeby nie usnąć, zagadała:

Ile kobiet musi podróżować razem, żeby nie były same?

Czy to żart w stylu, ilu prawników potrzeba do wkręcenia żarówki?

Nie, to poważne pytanie. Ile kobiet powinno być w grupie, żeby w razie czego ktoś nie powiedział, że podróżowały same? W wiadomościach mówili dziś o tych dziewczynach

zamordowanych na wybrzeżu. Oczywiście nie brakuje takich, którzy twierdzą, że proszę się o to, bo podróżowały same. A przecież były we dwie. Jakaś socjolog w telewizji spytała: „Ile kobiet musi podróżować razem, żeby można było powiedzieć, że nie były same?”.

Hmm.

Nocny krajobraz umykał za oknem.

To te dziewczyny, które zamordowali w zeszłym tygodniu?

Tak.

Mną też to wstrząsnęło. Pomyśleć, że dopiero co tam byliśmy. Czytałaś, co dokładnie się stało?

Złapali dwóch podejrzanych i są podobno różne wersje co do tego, co się wydarzyło. Jedna mówi, że nie miały pieniędzy na nocleg i zgodziły się zostać w taniej kwaterze u jakichś kolesi, którzy próbowali je zgwałcić, i kiedy zaczęły się bronić, zabili je. Druga wersja mówi, że podali im jakieś pigułki gwałtu i zaprowadzili do siebie, i nie wiadomo, co się wydarzyło dokładnie, ale że znaleziono ich ciała na plaży niedaleko domu jednego z morderców. Świadek, który widział je jako ostatni, to jakiś facet z postoju taksówek.

Ktoś nawet twierdził, że mieli w tym swój udział obcokrajowcy zamieszani w przemyt ludźmi. Chcieli je wprowadzić, coś poszło nie tak, więc je zabili.

Jak? – Samochód sunął przez noc i puste, mokre ulice Quito.

Jedną przez uderzenie w głowę, drugą nożem.

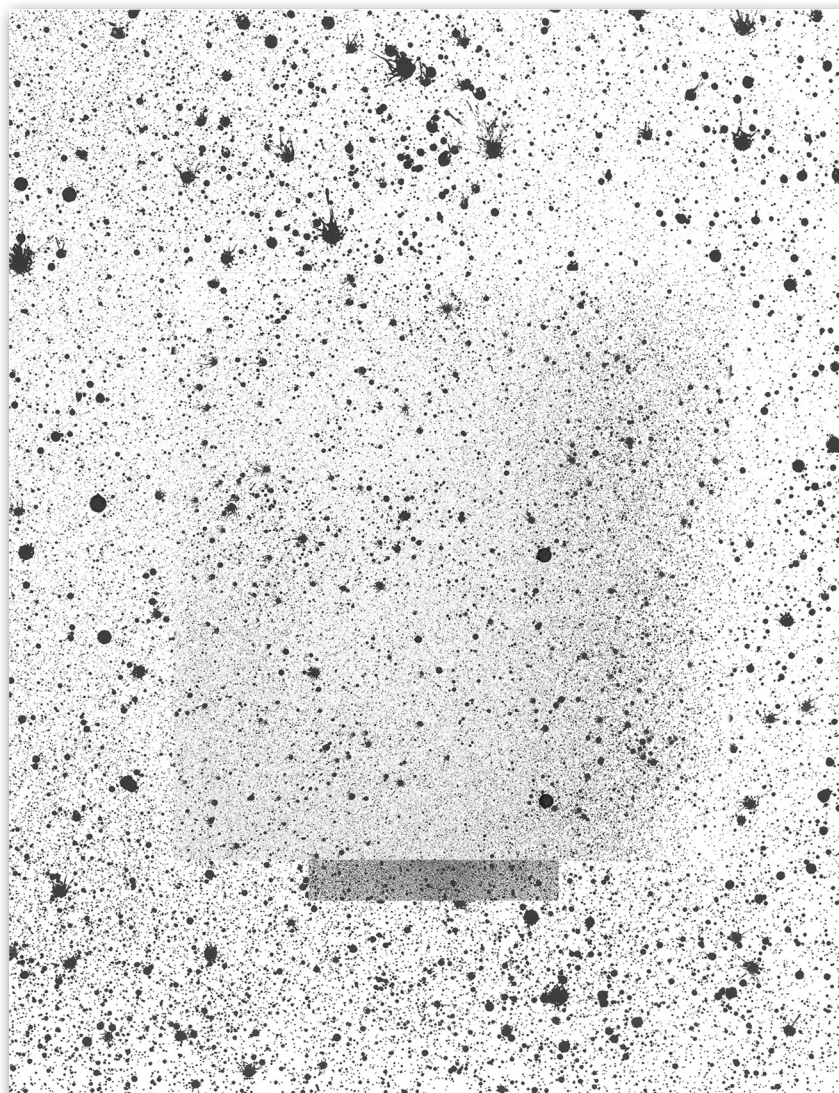
Czytałam, że od kilku lat podróżowały po Ameryce Łacińskiej... Tak jak my kiedyś. Wstajesz rano, niczego się nie spodziewając, myślisz o rzeczach, które masz do zrobienia, może złościsz się na głupoty, robisz plany na następny dzień. Nie masz pojęcia, że obok czai się zło, którego możesz stać się ofiarą. Zawsze myślisz, że w jakiś sposób takie rzeczy ciebie nie dotyczą, że tobie się to nie przydarzy. A potem jeszcze nie zabraknie kogoś, kto spyta „Dlaczego podróżowały same”? Jakby odpowiedź na to pytanie miała coś wyjaśniać.

– Mhm – znowu zapatrzyła się w migający nocny krajobraz za oknem. Były już całkiem blisko. Kiedy skęcili, rozpoznała ulicę i dobrze oświetlony apartamentowiec.

– Jesteśmy na miejscu, *señoritas* – taksówkarz zapalił lampkę i wskazał na taksometr.

Podawała zaokrągloną sumę, kładąc pieniądze na pomarszczonej i poplamionej przez słońce dłoni leciwego taksówkarza.

– Dziękuję. Dobranoc, *señoritas*.



Natasza Kornobis, *Praca plastyczna*